

COS PREZENTUJE: SERIA E-SINGLE
HARRY HARRISON



DOBRE
HISTORIE

**209: NIONY
PANCERNIK**



„COŚ NA PROGU”

PIERWSZY MAGAZYN W POLSCE ZAJMUJĄCY SIĘ WEIRD FICTION.

W każdym numerze kilkadziesiąt stron

PROZY, POEZJI I PUBLICYSTYKI

dla miłośników **GROZY, KRYMINAŁU i FANTASTYKI.**

W numerach 1 i 2, znalazły się teksty m.in.:

Clive’a Barkera, Stefana Grabińskiego,

H.P. Lovecrafta, Jacka Ketchuma, Edwarda Lee,

Algernona Blackwooda, Morty Castle, Marcina Wrońskiego,

Dawida Kaina i Marcina Rusnaka.

Wygodny, książkowy format, możliwa prenumerata

i darmowa wysyłka przy zamówieniach ze strony wydawcy:

www.dobrehistorie.pl

Zapraszamy na oficjalny blog magazynu: cosnaprogu.blogspot.com

**HARRY
HARRISON**

**ZAGINIONY
PANCEŃNIK**



Redaktor prowadzący serię: *Lukasz Śmigiel*
Redakcja: *Katarzyna Kisiel i Krzysztof Wichary*
Korekta: *Magdalena Dziekońska i Krzysztof Wichary*
Projekt okładki i skład: *Michał Oracz*

Przekład: *Marcin Rusnak*
Redakcja przekładu: *Jakub Wiśniewski*

Ilustracja na okładce i ilustracje: *Krzysztof Chalik*

HARRY HARRISON

Klasyk science fiction i weird fiction, rysownik, pisarz, scenarzysta i redaktor wielu antologii. Zasłynął kilkoma cyklami z gatunku Space opery, m.in. „Stalowy Szczur”, „Bill bohater galaktyki”, „Planeta Śmierci”. Jego teksty są często przesiąknięte humorem, pełne niespodziewanych zwrotów akcji i sensacyjnych fabuł. W 2009 roku Stowarzyszenie Amerykańskich Pisarzy Science Fiction i Fantasy przyznało mu nagrodę Damon Knight Memorial Grand Master Award.

OD WYDAWCY

Za chwilę przeczytacie e-booka z naszej nowej serii wydawniczej. Nazwaliśmy ją „e-single”, będą to bowiem krótsze formy literackie — dłuższe opowiadania, nowele oraz mini powieści z gatunku weird fiction, które uzupełnią Waszą biblioteczkę. Co dwa miesiące będziemy przygotowywać dla Was kolejne wyjątkowe tytuły — zagraniczną klasykę i polskie premiery. Chcemy, aby „e-single” były atrakcyjnie przygotowane od strony edytorskiej, graficznej i miały równie atrakcyjną cenę, która utrzymana zostanie na poziomie zaledwie kilku złotych.

Stale uzupełnianą biblioteczkę „e-singli” znajdziecie na oficjalnej stronie naszego wydawnictwa:

www.dobrehistorie.pl

Nie zapomnijcie także o pobraniu z naszej strony darmowej aplikacji o nazwie „Dobre historie”, która pozwoli Wam na uzyskanie natychmiastowego dostępu do wydawanych przez naszą oficynę e-booków, audiobooków i komiksów za pośrednictwem telefonów i tabletów z systemami IOS i Android.

Zespół Dobrych Historii

HARRY HARRISON

ZAGINIONY PANCERNIK

Mogłoby się wydawać, że odrobina zwyczajnej nieuwagi nie wystarczy, żeby zgubić coś tak dużego jak okręt wojenny... Jednak przestrzeń kosmiczna to zupełnie inna skala. A zaginiony pancernik — szczególnie gdy ktoś nieodpowiedni siedzi za sterami — może być wyjątkowo niebezpieczny.

Jeśli chodzi o otwieranie zamków i sejfów, przyznaję, że nie jestem mistrzem. Drzwi do prywatnej kwatery Inskippa miały jednak staromodny bęben zapadkowy, w którym dłubało się łatwiej niż w zębach. Pokonałem próg bezszelestnie. Choć byłem cicho, Inskipp jakimś cudem mnie usłyszał. Światło się zapaliło i zobaczyłem, jak siada na łóżku z bezodrutową siedemdziesiątką piątką wycelowaną w mój brzuch.

— Powinieneś mieć więcej oleju w głowie, diGriz — warknął.
— Zakradać się do mojego pokoju w środku nocy! Mogłem cię postrze-
lić!

— Nie mogłeś — odparłem, gdy schował swoją armatę pod poduszkę.
— Jesteś ciekawski z natury. Tacy jak ty zawsze najpierw gadają,
a strzelają dopiero później. Poza tym całe to błędzenie po omacku nie
byłoby potrzebne, gdybyś zostawił swój ekran włączony i mógłbym się
z tobą połączyć.

Inskipp ziewnął i nalał sobie szklankę wody z automatu nad łóżkiem.

— To, że jestem szefem Korpusu Specjalnego, nie oznacza, że jestem
Korpusem Specjalnym! — odparł, opróżniając szklankę. — Muszę
czasami spać. Poza tym mój ekran jest włączony dla wyjątkowych
wezwań, nie dla pierwszego lepszego agenta, którego trzeba potrzymać
za rączkę.

— Mam rozumieć, że należę do kategorii trzymany za rączkę?
— zapytałem z udawaną słodyczą w głosie.

— Nie, należysz do kategorii włamujących się do mojej kwatery cwa-
niaczków — mruknął, opadając na łóżko. — A teraz wynoś się i wróć
jutro, w godzinach pracy, bo odstrzelę ci ten uśmiezek z gęby.

Prawie zrobiło mi się go żal. Tak bardzo chciał położyć się spać. Ja zaś
wiedziałem, że to, co zaraz zobaczy, spędzi mu resztki snu z powiek.

— Wiesz co to jest? — spytałem i podsunąłem zdjęcie pod jego długi,
garbaty nos. Powoli otworzył jedno oko.

— Jakiś spory okręt wojenny, wygląda na model późno imperialny.
A teraz powtarzam po raz ostatni: wynoś się stąd!

— Dobry strzał, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, która jest
godzina — odparłem wesoło. — To jest późno imperialny pancernik klasy
Warlord, bez wątpienia jedno z najskuteczniejszych narzędzi destrukcji
kiedykolwiek stworzonych przez człowieka. Ponad pół mili ekranów

obronnych i uzbrojenia, które mogłoby bez trudu przerobić dowolną flotę na kupę radioaktywnego pyłu...

— Tak, pomijasz tylko fakt, że ostatni taki okręt poszedł na złom ponad tysiąc lat temu — wybełkotał Inskipp.

Nachyliłem się nad nim i zbliżyłem usta do jego ucha, żeby uniknąć nieporozumień. Mówiłem cicho, ale wyraźnie:

— To prawda — powiedziałem — ale czy nie zainteresowałaby cię informacja, że jeden taki właśnie się buduje?

Och, zareagował pięknie. Pościel poleciała w jedną stronę, Inskipp w drugą. Pojedynczym zgrabnym ruchem przeszedł z pozycji leżącej do pełnego pionu. Fotografia okrętu powędrowała pod światło. Inskipp najwyraźniej nie był zwolennikiem spodni od pizamy i ze współczuciem patrzyłem, jak jego chude golenie pokrywają się gęsią skórką. Wystarczyło jednak, że się odezwał, a potężny głos natychmiast przywołał mnie do porządku.

— DiGriz, gadaj, do cholery, gadaj! — zaryczał. — Co to za bzdury o pancerniku? Kto go buduje?

Udałem, że zaciekało mnie coś na powierzchni moich dłoni, po czym długo przyglądałem się paznokciom, zanim cokolwiek powiedziałem. Szef wstrzymał oddech. Kątem oka widziałem, jak jego twarz robi się purpurowa, ciągle jednak milczał. Rozkoszowałem się tą krótką chwilą władzy nad nim

— „Niech diGriz zajmie się przez jakiś czas archiwum”, powiedziałaś. „Niech pozna podstawy. Grzebanie w wiekowych, zakurzonych aktach to coś w sam raz dla takiego niespokojnego ducha jak Szczwany Jim diGriz. To nauczy go dyscypliny. Pokaże, czym jest Korpus. Aktom to też nie zaszkodzi. Od dawna wymagają uporządkowania”.

Inskipp otworzył usta, wydał dźwięk przypominający krztuszenie się, i zamknął je z powrotem. Z pewnością zrozumiał, że jeśli będzie

mi przerywał, tylko przedłuży moje wyjaśnienia. Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową, po czym mówiłem dalej.

— Sądziłeś, że masz mnie z głowy. Złamiesz mnie pod pozorem „małego zaznajamiania się z działalnością Korpusu”. Pod tym względem twój plan zawiódł, zdarzyło się bowiem coś innego. Zacząłem grzebać w aktach i znalazłem tam sporo ciekawostek. Szczególnie zainteresował mnie system K&P — Kategoryzacja i Pamięć. Cały budynek pełen automatów, które pochłaniają i trawią wiadomości ze wszystkich planet galaktyki, indeksują je i katalogują. Wspaniała rzecz. Zacząłem zagłębiać się w informacje na temat statków kosmicznych, bo od dawna się nimi interesowałem...

— Powinieneś — Inskipp wtrącił ostro. — W swoim czasie ukradłeś ich całą masę.

Posłałem mu spojrzenie niewiniątka i powoli kontynuowałem:

— Wydajesz się niecierpliwić, więc nie będę cię zanudzał szczegółami. W końcu dogrzebałem się do tego schematu — wyrwał mi go z rąk, zanim jeszcze dobrze otworzyłem aktówkę.

— Do czego zmierzasz? — wymamrotał, przesuwając wzrokiem po schematach projektu. — To zwykły transportowiec towarowo-pasażerski. Nie przypomina pancernika klasy Warlord bardziej niż ja.

Nie jest łatwo równocześnie mówić i uśmiechać się z politowaniem, ale mnie się udało.

— Oczywiście. Nie spodziewasz się chyba, że złożyli plan budowy okrętu wojennego w Rejestrze Ligi, prawda? Ale, jak już mówiłem, wiem to i owo o statkach. Pomyślałem, że ten bydlak jest trochę za duży. Wystarczy, że stare okręty marnują paliwo, nie ma potrzeby produkować w tym celu nowych. Zacząłem kombinować i zażądałem pełnej listy okrętów tej wielkości skonstruowanych w przeszłości. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy po trzech minutach buczenia system K&P przedstawił tylko sześć trafień. Jeden z podobnych statków został zbudowany na potrzeby samowystarczalnej kolonii, która miała powstać w sąsiedniej

galaktyce. Z tego co mi wiadomo, ten okręt wciąż jest w budowie. Pięć pozostałych to statki osadnicze klasy D z czasów ekspansji, kiedy przemieszczały się całe masy ludzi. Są zbyt duże na dzisiejsze potrzeby.

Zaintrygowało mnie to, bo wciąż nie miałem pojęcia, do czego mógłby służyć równie duży statek. Zdjąłem filtr czasowy z K&P i pozwoliłem mu przebierać w całej historii podróży kosmicznych w poszukiwaniu czegoś zbliżonego. Znalazł, a jakże, dokładnie w Złotym Wieku ekspansji Imperium, gigantyczny pancernik klasy Warlord. Maszyna nawet odnalazła dla mnie schemat konstrukcyjny.

Inskipp chwycił kolejny papier i zaczął porównywać oba wydruki. Spojrzałem mu przez ramię i wskazałem kilka interesujących szczegółów.

— Zwróć uwagę, że jeśli zmieni się odrobinę specyfikację maszynowni, powiększając ją o tę ładownię, znajdzie się mnóstwo miejsca dla znacznie mocniejszych silników potrzebnych pancernikowi. Wystarczy pozbyć się tej nadbudówki — oczywiście doklejonej do planów na siłę — i wstawić w jej miejsce wieżyczki. Kadłuby są identyczne. Drobną zmianą tu, niewielkie przesunięcie tam i z ociążałego towarowca robi się zabójczo szybka latająca forteca. Zmiany można wprowadzić w trakcie budowy, a plany złożyć później. Zanim ktokolwiek w Lidze zrozumiałby, co tam się tak naprawdę buduje, statek byłby gotowy do drogi. Oczywiście to wszystko może być zbiegiem okoliczności. Schemat nowo budowanego statku mógłby przecież zgadzać się w sześciu miejscach z planem okrętu latającego tysiąc lat temu. Jeśli jednak tak myślisz, stawiam sto do jednego, że się mylisz.

Z miny swojego przełożonego wyczytałem, że nie zanosilo się na zakład. Potrafiłem na odległość wyczuć szemrany interes, a Inskipp w młodości był takim samym podejrzliwym typkiem jak ja. Zasypywał mnie pytaniami, zakładając kolejne części garderoby.

— Jak się nazywa miłująca pokój planeta, która buduje tę niechlubną pamiątkę przeszłości?

— Cittanuvo. Druga planeta gwiazdy B Korony Północnej. W układzie nie ma innych skolonizowanych planet.

— Nigdy o niej nie słyszałem — powiedział Inskipp, kiedy ruszyliśmy do jego biura prywatną rynną zsuwową. — To może być zarówno dobry, jak i zły znak. Nie pierwszy raz niebezpieczeństwo nadeszłoby z jakiejś odległej dziury, o której istnieniu nie miałem nawet pojęcia.

Z mimowolnym brakiem poszanowania dla innych oddanych pracy w Korpusie nacisnął guzik alarmowy na swoim biurku. Gabinet bardzo szybko wypełnił się zaspanymi urzędnikami wnoszącymi kolejne akta i raporty. Wspólnie zaczęliśmy je przeglądać.

Skromność kazała mi milczeć, jednakże na reakcję szefa nie musiałem czekać zbyt długo. Inskipp szybko doszedł do tych samych wniosków co ja. Rzucił plikiem akt przez cały pokój i popatrzył gniewnie na ostre światło świtu.

— Im dłużej na to patrzę — zauważył — tym bardziej to wszystko wydaje się podejrzane. Właściwie ta kolonia nie ma żadnego motywu ani powodu, by budować okręt wojenny. Jednak dokładnie to robią, mogą się założyć o górę kredytów większą od budynku, w którym jesteśmy. Tylko co zamierzają zrobić, jak już go wybudują? Rozwija się u nich kultura, bezrobocie nie istnieje, mają nadwyżki metali ciężkich i rynek zbytu na wszystko, co wyprodukują. Żadnych wrogów, zadawnionych waśni, niczego. Gdyby nie ten pancernik, nazwałbym ich wzorcową planetą Ligi. Muszę dowiedzieć się o nich więcej.

— Już skontaktowałem się z portem kosmicznym... W twoim imieniu, oczywiście — powiedziałem. — Zamówiłem szybki statek kurierski. Wylatuję w ciągu godziny.

— Czy aby trochę cię nie ponosi, diGriz? — zapytał. Głos miał zimny jak lód. — Wydawanie rozkazów to wciąż moja działka i dam ci znać, kiedy będziesz gotowy do samodzielnego dowodzenia.

Kiedy się odezwałem, mój głos był słodki jak miód. Zbyt wiele zależało od tej decyzji.

— Tylko próbuję pomóc, szefie, przygotować to i owo na wypadek, gdybyś potrzebował więcej informacji. To nawet nie jest prawdziwa operacja, tylko zwykły rekonesans. Poradzę sobie równie dobrze, jak każdy z bardziej zasłużonych agentów. Może zdobędę doświadczenie potrzebne, żeby któregoś dnia trafić w szeregi...

— W porządku — uciął. — Przestań kadzić, póki jeszcze mogę oddychać. Wynocha stąd. Jedź tam, dowiedz się, co tam się dzieje. A jak ci się uda, natychmiast wracaj. I nic ponadto. To rozkaz.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, rozumiałem, że według niego szanse na taki rozwój wypadków są niewielkie. Odkąd sześć miesięcy wcześniej siłą wcielono mnie do Korpusu, ciągle tkwiłem na tej super-tajnej planetoidzie, która pełniła rolę kwatery głównej. Moja cierpliwość do przebywania w jednym miejscu nigdy nie była zbyt duża, a ostatnimi czasy jej rezerwy wyczerpywały się...

Na początku było nawet interesująco. Szczególnie, że zanim wciągnięto mnie do Korpusu Specjalnego, nie byłem nawet pewien, czy takowy faktycznie istnieje. Wszystko zanadto przypominało koszmarny sen oszusta, żeby mogło być prawdziwe. Aż do momentu, kiedy było już za późno.

Po kilku latach bezkarnego przestępczego życia zaczynasz się zastanawiać, jak długo to jeszcze potrwa. Policja planetarna to banda nieudaczników i wydaje ci się, że możesz działać w nieskończoność, jeśli tylko oni mają stać ci na drodze. Ale co z Ligą? Czy zbrodnia jej nie interesuje? Mniej więcej wtedy słyszysz pierwsze pogłoski o Korpusie Specjalnym i wszystko pasuje jak ulał do wizji ze złych snów. Potężna, tajemnicza grupa, która po cichu przemieszcza się między jednym układem, a drugim, gotowa doprowadzić kosmicznego przestępcę przed oblicze sprawiedliwości. Brzmi jak pomysł z serialu telewizyjnego. Byłem niezłe zdziwiony, gdy odkryłem, że naprawdę istnieje.

Moje zdziwienie sięgnęło jednak zenitu w chwili, gdy dowiedziałem się, że zostałem zrekrutowany. Rzecz jasna byłem wtedy trochę pod presją (alternatywą była natychmiastowa kara śmierci). Ciągle uważam, że to

było sprytne posunięcie. Kierując się życiową mądrością, zgodnie z którą tylko oszust przechrzty oszusta, Korpus robił użytek z ludzi takich jak ja, żeby oczyścić galaktykę z podobnie społecznych typów.

Wciąż jednak nie bardzo temu dowierzałem. Sprowadzono mnie do kwatery głównej i przydzielono monotonną administracyjną robotę jako element szkolenia. Sześć miesięcy nudy sprawiło, że trochę zdurniałem i bardzo chciałem się stąd wyrwać. Skoro nikt się nie spieszył z wyznaczeniem mi zadań, sam sobie coś wyszukałem. Nie miałem pojęcia, co z tego wyniknie, ale też nie zamierzałem rezygnować, póki nie doprowadzę sprawy do końca.

Krótką wizyta w dziale zaopatrzenia wystarczyła, żeby zdobyć wszystko, czego mogłem potrzebować. Słońce ledwo wyszło ponad horyzont, kiedy mieniący się srebrzyście dziób mojego statku uniósł się nad szarym polem i wystrzelił w kosmos.

Podróż trwała tylko kilka dni, ale czasu było aż nadto, by zapamiętać wszystko, co chciałem wiedzieć na temat Cittanuvo. Im więcej wiedziałem, tym mniej rozumiałem powód budowy pancernika. To nie miało sensu. Cittanuvo było drugorzędnym osiedlem z korzeniami w układzie Cellini. Zdarzyło mi się już być w tamtych stronach, więc tym bardziej się dziwiłem. Społeczności te łączyło luźne przymierze. Mimo że często sprzeczały się między sobą, nigdy nie dochodziło do otwartych konfliktów. Jeśli cokolwiek je spajało, była to niechęć do wojny — a jednak potajemnie budowano tu okręt wojenny.

Miałem tylko puste domysły — nic więcej. Dałem sobie z tym spokój i zacząłem analizować z pomocą trójwymiarowych szachów jeden z nowo poznanych gambitów. To wypełniło mi czas, dopóki Cittanuvo nie pojawiła się na ekranie.

„Najciemniej jest pod latarnią” — to myśl, której zawsze hołdowałem, i to z dobrym skutkiem. Iluzjoniści nazywają to odwróceniem uwagi. Trzeba pokazać ludziom tylko to, co chcą zobaczyć — wtedy nigdy nie dostrzegą ukrytej prawdy. Dlatego właśnie wylądowałem w samo południe na największym lądowisku planety po popisowym podejściu.

Byłem już ubrany adekwatnie do mojej roli i opuściłem statek, zanim jeszcze płozy ułożyły się na lądowisku. Zszedłem po pochylni, zapinając platynową klamrę futrzanej peleryny. Nieduży, ale solidny robot typu M-3 podążył moim śladem z torbami. Zmierzając prosto ku głównej bramie, zignorowałem zamieszanie wokół budynku odprawy celnej. Dopiero gdy jakiś mundurowy podbiegł do mnie, dałem po sobie poznać, że widzę, co się dzieje wokół.

Odezwałem się, zanim zdążył mnie uprzedzić. Nie zamierzałem oddawać inicjatywy.

— Piękna planeta. Cudowny klimat! Doskonałe miejsce na wiejską rezydencję. Przyjaźni ludzie, zawsze gotowi pomóc obcym, czyż nie mam racji? Dokładnie o to mi chodziło. Człowiek od razu czuje się jak w domu. Bardzo mi miło pana poznać. Jestem Wielkim Księciem Sant'Angelo — mocno uściśnąłem jego dłoń, pozwalając, by stukredytowy banknot przy okazji zmienił właściciela.

— A teraz — dodałem — czy mógłbym prosić, aby któryś z agentów celnych zerknął na moje bagaże? Nie chciałbym marnować czasu. Statek jest otwarty, można go sprawdzić, kiedy państwu wygodnie.

Moje maniery, ubrania, biżuteria, swobodny sposób, w jaki rozstałem się z pieniędzmi — to wszystko mogło oznaczać tylko jedno. Niewiele było rzeczy, które warto by przemyścić na albo z Cittanuvo. Z pewnością nic, czym byłby zainteresowany ktoś równie bogaty jak ja. Urzędnik odpowiedział coś z uśmiechem, rzucił parę słów do telefonu i było po sprawie.

Kilku celników oznakowało mój bagaż hologramami. Zerknęli do jednej czy dwóch toreb dla przyzwoitości i przepuścili mnie dalej. Uściśnąłem dłonie wszystkich, każdemu uściskowi oczywiście towarzyszył szelest banknotów, i ruszyłem w drogę. Wezwano taksówkę, polecono mi hotel. Podziękowałem i zająłem miejsce, podczas gdy robot pakował moje torby.

Statek był zupełnie czysty. Wszystko, czego potrzebowałem do mojego zadania, znajdowało się w bagażach. Część z moich zabawek była zabójcza, wybuchowa i narobiłaby mi sporo kłopotów, gdyby ktoś je znalazł. W zaciszu hotelowego pokoju zmieniłem ubranie i osobowość zaraz po tym, jak robot sprawdził, czy w apartamencie nie ma podsłuchu.

Fajne gadżety te roboty Korpusu. Cały czas wyglądały i zachowywały się jak zwyczajne, durnowate M-3. Tyle że były czymś zupełnie innym. Miały cybermózg nie ustępujący tym montowanym w najlepszych modelach, a krępa sylwetka kryła dziesiątki różnorodnych urządzeń i mechanizmów. Robot przetoczył się wolno po pokoju, rozpakowując torby i rozkładając mój sprzęt. Niby przypadkiem pokonał starannie wytyczoną trasę obejmującą każdy cal apartamentu. Gdy skończył, zatrzymał się i dał znać, że teren jest czysty.

— Wszystkie pokoje sprawdzone. Wynik negatywny, jeśli nie liczyć jednej pluskwy optycznej na tamtej ścianie.

— Na pewno powinieneś na nią wskazywać? — zapytałem. — Ktoś może zacząć coś podejrzewać.

— Niemożliwe — odparł robot z niezachwianą pewnością maszyny. — Dezaktywowałem ją i obecnie jest niezdatna do użytku.

Po tym zapewnieniu zrzuciłem szpanerskie ciuchy i wskoczyłem w czarny mundur galowy admirała Wielkiej Floty Ligi. W zestawie były wszystkie dekoracje, złote frędzle oraz niezbędne dokumenty. Mnie wydawał się nieco zbyt pretensjonalny, ale nadawał się doskonale, żeby zrobić na mieszkańcach Cittanuvo odpowiednie wrażenie. Jak na wielu innych planetach, ceniono tutaj mundury. Swoje charakterystyczne stroje mieli nawet dostawcy, urzędnicy i zmiataacze ulic. Jednym słowem, przywiązywano do mundurów sporą wagę, a mój czarny paradny strój bez wątplenia wzbudzał respekt.

W chwili opuszczania hotelu mundur mogłem ukryć pod długą peleryną, ale pozłacany hełm oraz aktówka pełna dokumentów to już co

innego. Nigdy tak naprawdę nie zbadałem wszystkich możliwości mojego pseudo M-3, przyszło mi więc na myśl, że może zdoła mi pomóc.

— Hej, ty, kwadraciaku! — zawołałem. — Masz w tym swoim cielsku jakieś ukryte przegródki czy szufladki? Jeśli tak, pokaż mi je.

Przez ułamek sekundy myślałem, że robot eksplodował. Miał w sobie więcej szuflad niż cała bateria kas sklepowych. Małe, duże, płaskie, wąskie — powyskakiwały na wszystkie strony. W jednej tkwił pistolet, w dwóch innych granaty; pozostałe były puste. Schowałem nakrycie głowy i teczkę do dwóch różnych przegródek i pstryknąłem palcami. Szufladki schowały się, a metalowy korpus robota wydawał się równie jednolity jak wcześniej.

Założyłem fantazyjną czapkę, zapiąłem starannie pelerynę i byłem gotowy do drogi. Mój bagaż był uzbrojony i mógł sam o siebie zadbać. Broń palna, gaz, zatrute igły — standardowe rozwiązania. W ostateczności wysadziłby się w powietrze. M-3 zjechał windą towarową. Ja wybrałem tylne schody i spotkaliśmy się na ulicy.

Było jeszcze jasno, więc nie wezwałem śmigłowca, tylko wynająłem samochód. Wybraliśmy się na przyjemną przejażdżkę po wiejskich drózkach i o zmroku dotarliśmy do posiadłości prezydenta Ferraro.

Dom prezydenta prezentował się bardziej jak pałac jakiegoś monarchy — zresztą wypadało się spodziewać czegoś podobnego po najwyższym urzędniku bogatej planety. Jednak zabezpieczenia obiektu były w najlepszym razie symboliczne. Bez najmniejszego problemu przekradłem się między strażnikami, prowadząc za sobą robota ważącego trzydzieści pięć kilo. Prezydent Ferraro akurat jadł obiad. To dało mi dość czasu, żeby przeszukać jego gabinet.

Niczego tam nie było. A przynajmniej niczego dotyczącego planów wojennych albo potajemnie budowanych machin zniszczenia. Gdybym był zainteresowany szantażem, bez trudu znalazłbym dość, żeby objąć się przez resztę życia. Jednak szukałem czegoś więcej niż dowodów zwykłej korupcji.

Kiedy Ferraro skończył obiad i wszedł do gabinetu, w pokoju panowała ciemność. Słyszałem, jak mruczy coś na temat służby i po omacku szuka włącznika. Zanim go znalazł, robot zamknął drzwi i zapalił światło. Siedziałem za biurkiem, wszystkie jego papiery leżały przede mną przyciśnięte do blatu pistoletem. Na mojej twarzy rysował się najsurowszy gniewny wyraz, na jaki było mnie stać. Wydałem rozkaz, nim zdołał odzyskać rezon:

— Proszę podejść bliżej i siadać. Natychmiast!

W tym samym momencie robot pchnął go w moją stronę, więc mężczyzna nie miał wyboru. Kiedy dostrzegł dokumenty leżące na biurku, wybałuszył oczy, z jego ust wydobył się niewyraźny bulgot. Rzuciłem mu plik papierów.

— Nazywam się admirał Thar, reprezentuję Wielką Flotę Ligi. Oto moje listy uwierzytelniające. Proszę rzucić na nie okiem.

Nie martwiłem się o ich wiarygodność — dokumenty były równie dobre, jak te należące do prawdziwych admirałów. Mimo wstrząsu, który właśnie przeżył, Ferraro przejrzał je dość starannie, sprawdzając nawet pieczętki pod światłem UV. Dało mu to dość czasu na odzyskanie inicjatywy i zaczął ostro:

— Jak pan śmie włamywać się do moich prywatnych kwater i myszkujeć...

— Jest pan w poważnych tarapatach — uciałem głosem tak ponurym, jak to tylko możliwe.

Opalona twarz Ferraro nagle poszarzała. Korzystałem z uzyskanej przewagi.

— Aresztuję pana pod zarzutem spiskowania, wymuszeń, kradzieży i wszystkich innych zbrodni, które wyjdą na jaw po szczegółowym zapoznaniu się z treścią tych dokumentów. Bierz go! — ostatni rozkaz skierowany był do robota, który dobrze znał swoją rolę. Podsunął się bliżej

i zamknął metalową dłoń wokół nadgarstka Ferraro na podobieństwo kajdanek. Mężczyzna praktycznie nie zwrócił na to uwagi.

— Mogę wszystko wyjaśnić — zapewnił desperacko. — Nie ma potrzeby wnosić podobnych oskarżeń. Nie wiem, jakie dokumenty pan tam ma, więc nie odważę się powiedzieć, że sfałszowano je wszystkie, ale mam wielu wrogów. Gdyby Liga wiedziała, z jakimi problemami musi borykać się taka zacofana planeta jak nasza...

— Dość — warknąłem i uciszyłem go gestem. — Wszystkie te kwestie w odpowiednim czasie rozważy sąd. Pozostaje jedno pytanie, na które odpowiedź chcę uzyskać w tej chwili. Czemu budujecie ten okręt wojenny?

Facet był świetnym aktorem. Wybałuszył oczy, opadła mu szczeka, osunął się na krzesło, jakby go ktoś walnął obuchem. Kiedy się odezwał, słowa okazały się niepotrzebne: każdy jego gest sugerował skrzywdzoną niewinność.

— Jaki okręt wojenny?! — wydyszał.

— Pancernik klasy Warlord, który jest w tej chwili montowany w Stoczniach Kosmicznych Cenerentola. Ukryty w tych schematach — rzuciłem nimi przez szerokość biurka i wskazałem na jeden z arkuszy. — To pański podpis. Wyraził pan zgodę na budowę.

Ferraro wciąż zgrywał głupka: grzebał w papierach, oglądał podpisy i tym podobne. Dałem mu tyle czasu, ile potrzebował. W końcu odłożył dokumenty i pokręcił głową.

— Nic nie wiem o żadnym okręcie. To plany nowego liniowca towarowego. To mój podpis. Pamiętam, że go tam stawiałem.

Rozmowa potoczyła się dokładnie tak, jak chciałem, ale następne pytanie sformułowałem bardzo ostrożnie:

— Czyli zaprzecza pan, jakoby wiedział cokolwiek o pancerniku klasy Warlord budowanym według tych zmodyfikowanych planów?



— To plany zwykłego transportowca pasażersko-towarowego. To wszystko, co wiem.

W jego słowach pobrzmiwała niewinność małego dziecka. Czyżby nigdy go na niczym nie przyłapano? Rozsiadłem się wygodnie z westchnięciem i zapaliłem cygaro.

— Może zainteresowałoby pana to i owo odnośnie tego robota — powiedziałem. Ferraro popatrzył na mojego M-3, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności automatu ściskającego go za nadgarstek. — To nie jest zwyczajny robot. Dysponuje całym mnóstwem ciekawych przyrządów wbudowanych w mechaniczne palce. Ogniwa termoelektryczne, galwanometry, tego typu rzeczy. Podczas gdy pan mówił, on rejestrował temperaturę pańskiej skóry, ciśnienie krwi, potliwość i tym podobne. Innymi słowy, to bardzo wydajny i szybki wykrywacz kłamstw. Zaraz dowiemy się wszystkiego na temat pańskich matactw.

Ferraro odsunął się od ręki robota, jakby to był jadowity wąż. Z moich ust uleciało kółeczko dymu, a zaraz za nim polecenie do robota:

— Raport. Czy ten mężczyzna kłamał?

— Tak — odparł robot. — Dokładnie siedemdziesiąt cztery procent tego, co powiedział, to nieprawda.

— Doskonale — pokiwałem głową, zakładając ostatnią pułapkę na moją zwierzynę. — To znaczy, że wie wszystko na temat tego okrętu.

— Obiekt nie dysponuje żadną wiedzą odnośnie okrętu wojennego — odparł chłodno robot. — Wszystkie jego stwierdzenia związane z konstrukcją tego statku były prawdziwe.

Tym razem to ja wytrzeszczałem oczy i otwierałem w zdumieniu usta, podczas gdy Ferraro miał okazję wziąć się w garść. Nie wiedział, że inne jego przekrety niewiele mnie obchodzą, ale zrozumiał, że ta informacja była dla mnie jak cios poniżej pasa. Nie przyszło mi to łatwo, ale w końcu zdołałem zebrać myśli i skupić się na zebranych dowodach.

Skoro prezydent Ferraro nie miał pojęcia o budowie pancernika, musiał być ofiarą przekrętu. Jeśli nie on był winny — to kto? Jakaś militarystyczna klika zamierzająca go obalić i przejąć władzę? Niewiele wiedziałem o tej planecie, więc postanowiłem włączyć Ferraro do dochodzenia.

Poszło łatwo — nawet bez groźby zrobienia użytku z dokumentów, które u niego znalazłem. Gdybym chciał z nich skorzystać, mógłbym go zmusić do skakania przez płonące obręcze, ale nie było takiej potrzeby. Kiedy tylko pokazałem mu kolejne schematy i wyjaśniłem, co się za tym może kryć, natychmiast zrozumiał. Zależało mu, podobnie jak mnie, na znalezieniu tego, kto wykorzystał jego administrację do własnych celów. Nic nie ustalaliśmy na głos, ale żaden z nas więcej nie wspomniał o obciążających prezydenta dokumentach.

Zgodziliśmy się, że następnym krokiem powinna być wizyta w Stocznich Kosmicznych Cenerentola. Ferraro miał pomysł, żeby najpierw wybadać teren po cichu, spróbować odnaleźć powiązania z jego politycznymi przeciwnikami. Dałem mu do zrozumienia, że Lidze, a w szczególności Marynarce Ligi, zależało na zatrzymaniu konstrukcji okrętu. Później mógł bawić się w politykę. Kiedy już to uzgodniliśmy, Ferraro wezwał samochód oraz szwadron strażników i ruszyliśmy do stoczni. Czekala nas czterogodzinna trasa, którą poświęciliśmy na planowanie kolejnych posunięć

Kierownik stoczni kosmicznej nazywał się Rocca. Kiedy przyjechalśmy, smacznie spał nieświadomy, że tej nocy jeszcze tylko chwilę będzie cieszył się spokojnym snem. Parada umundurowanych ludzi pod bronią w środku nocy przeraziła go do tego stopnia, że ledwo mógł ustać na nogach. Podejrzewałem, że podobnie jak Ferraro maczał łapy w niejednym drobnym oszustwie. Żaden niewinny człowiek nie powinien wyglądać na tak przestraszonego. Wykorzystując sytuację, podpiąłem do niego mój samobieżny wykrywacz kłamstw i zasypałem pytaniami.

Zacząłem łapać ogólny obraz, zanim jeszcze uzyskałem wszystkie odpowiedzi. Te zresztą były dość przerażające.

Kierownik stoczni, w której budowano statek, nie miał bladego pojęcia o jego prawdziwym charakterze.

Każdy człowiek o samoocenie gorszej od mojej — albo wiodący wcześniej nieco uczciwsze życie — mógłby w takiej chwili poddać swój sposób rozumowania w wątpliwość. Ja tego nie zrobiłem. Budowany statek w sześciu miejscach nadal przypominał okręt wojenny. Jeśli ktoś wie o ludzkiej naturze tyle, ile ja, wie również, że tak gigantyczne zbiegi okoliczności nie wchodzą w rachubę. Brzytwa Ockhama nigdy się nie myli. Jeśli istnieją dwie możliwości, wybierz prostszą. W tym wypadku wybrałem naturalną ludzką zachłanność, a nie ślepy traf i przypadek. Postanowiłem jednak sprawdzić moją teorię w praktyce.

Kiedy ponownie popatrzyłem na oryginalne schematy, zwróciłem uwagę na olbrzymią nadbudówkę. Aby przekształcić statek w okręt wojenny, musieliby się tego pozbyć jako jednego z pierwszych elementów.

— Rocca! — warknąłem tonem godnym weterana kosmicznej floty. — Niech pan spojrzy na te plany, na tę wystającą dobudówkę. Czy ona wciąż jest przeznaczona do montażu?

Natychmiast pokręcił głową i odparł:

— Nie, plany zmieniono. Musieliśmy dołożyć jakiś nowy sprzęt niszczący meteoryty, aby statek mógł operować w pasie asteroidów.

Przerzuciłem zawartość teczki i wyciągnąłem inny schemat.

— Czy ten wasz sprzęt wygląda podobnie? — zapytałem i podałem mu go przez stół.

— Cóż — odrzekł, pocierając szczękę. Wahał się. — Nie dam za to głowy. Nie zajmuję się takimi rzeczami, ja odpowiadam tylko za efekt końcowy, nie za poszczególne podzespoły, ale to z całą pewnością wygląda podobnie do tego, co zainstalowali. Duża rzecz. Mnóstwo kabli zasilania...

Okręt wojenny, bez dwóch zdań. Już chciałem się mentalnie poklepać po plecach, kiedy dotarło do mnie, co tak naprawdę powiedział.

— Zainstalowali?! — krzyknąłem. — Powiedział pan, że już to zainstalowali?!

Rocca cofnął się przed moim wściekłym wrzaskiem i zaczął obgryzać paznokcie.

— Tak... — odrzekł. — Nie tak dawno temu. Pamiętam, że były z tym jakieś problemy...

— Co jeszcze? — przerwałem mu. Poczuję, jak na plecach zbiera mi się zimny pot. — Napęd, układ sterowniczy...? Też je zamontowano?

— Och, tak — odparł. — Skąd pan wiedział? Normalny harmonogram pracy uległ zmianie, było z tym mnóstwo niepotrzebnych kłopotów.

Zimny pot zamienił się w strugę paraliżującego strachu. Odniosłem wrażenie, że od samego początku szedłem niewłaściwym tropem. Oryginalna data zaplanowanego ukończenia konstrukcji wypadła dopiero za rok, ale przecież nic nie stało na przeszkodzie, aby i to zmienić.

— Do samochodów, wszyscy! — rozkazałem żołnierzom. — Jedziemy do stoczni. Jeśli ten statek faktycznie jest niemal ukończony, wszyscy jesteście w gigantycznych tarapatach!

Znudzeni codzienną rutyną gwardziści prezydenta nie bawili się w subtelności. Syreny wyły na jak opętane, a światła i szperacze raziły pełną mocą. Wystrzeliliśmy z hukiem przez noc, prując prosto w stronę bramy stoczni.

Wszystko to było bez znaczenia, przybyliśmy za późno. Umundurowany strażnik zamachał do nas energicznie i cały konwój nagle się zatrzymał.

Okręt zniknął.

Rocca nie mógł w to uwierzyć, prezydent zresztą też nie. Chodzili w te i we w te po doku, w którym jeszcze niedawno trwała budowa. Usiadłem

na tylnym siedzeniu auta, miażdżąc w zębach cygaro i przeklinając swoją głupotę.

Zakładałem, że planetarny rząd buduje okręt wojenny i pozostałem ślepy na oczywiste fakty. Rząd był w to zamieszany, ale jako pionek. Żaden ograniczony polityczny mózdzek nie wymyśliłby takiego przekreślenia. Cała ta robota cuchnęła szczurem — cwany szczurem. Ktoś działał dokładnie tak samo, jak działałem ja przed moim „nawróceniem”.

Teraz, kiedy szkodnik się ujawnił, wiedziałem już, gdzie szukać i miałem niezłe wyobrażenie o tym, co mogę znaleźć. Rocca, kierownik stoczni, wrócił i, rwąc sobie włosy z głowy, cały czas klął i płakał. Prezydent Ferraro wyciągnął swój pistolet i oglądał go z ponurą miną. Trudno było powiedzieć, czy myśli o samobójstwie, czy o morderstwie. Nie dbałem o to. On przejmował się tylko następnymi wyborami, kiedy opozycja i wyborcy rozszarpią go na strzępy za stracenie statku. Moje kłopoty były nieco większe.

Musiałem znaleźć ten okręt, zanim spustoszy pół galaktyki.

— Rocca! — krzyknąłem. — Niech pan wsiada do samochodu. Chcę mieć papiery tego statku, wszystkie papiery! Chcę je dostać w tej chwili.

Wsiadł do samochodu i wskazał kierowcy drogę, zanim ten zrozumiał, co właściwie się dzieje. Chorobliwie blade światło świtu z wolna przywróciło go do rzeczywistości.

— Ależ... panie admirale. Która godzina! Wszyscy będą jeszcze spać...

Wystarczył mój gniewny pomruk. Rocca popatrzył na mnie i chwycił za telefon. Drzwi biura czekały otworem, nim jeszcze dotarliśmy na miejsce.

Zazwyczaj przeklinam biurokrację z idącymi w tony stertami dokumentów, ale tym razem okazała się błogosławieństwem. Ci ludzie uczynili z niej rodzaj sztuki. Jeśli w trakcie budowy komuś zginęła śrubka, jej brak został odnotowany w pięciu kopiach. Później spisywano jeszcze

notatkę służbową: „śruba, zaginięcie, dochodzenie”. Wszystkie informacje, których potrzebowałem, tkwiły gdzieś w tej piramidzie papierów. Wystarczyło do nich dotrzeć. Nie próbowałem szukać u źródeł projektu, za długo by to trwało. Zamiast tego skoncentrowałem się na ostatnich modyfikacjach, takich jak wieżyczka z uzbrojeniem, które szybko mogły mnie naprowadzić na ślad winowajców.

Gdy urzędnicy zrozumieli, o co mi chodzi, zakrzętały się wokół swoich zadań, poganiani poczuciem patriotyzmu i palącymi głosami przełożonych. Musiałem tylko wskazać drogę poszukiwań, a dokumenty związane ze sprawą sływały jeden za drugim.

Krok po kroku zacząłem dostrzegać wzór. Subtelną sieć fałszerstw, łapówek, szykan i kłamstw. Podobny plan mógł się narodzić tylko w umyśle równie genialnym i nieuczciwym jak mój. Przygryzłem wargę z zazdrości. Jak wszystkie doskonałe pomysły, ten był bardzo prosty.

Nieznany sprawca albo sprawcy zgrabnie nagięli program budowy statku do swoich potrzeb. Z pewnością zaczęli od planu konstrukcji olbrzymiego transportowca, wiedzieli, że ktoś to sprawdzi. Kiedy proces budowy już się rozpoczął, pokierowano nim z zamysłem godnym geniusza. Polecenia wydawano z różnych miejsc, przekazywano dalej, modyfikowano je, tasowano jak karty do gry. Odnalezienie źródła każdego z nich było żmudną pracą. W wielu przypadkach ktoś sfalszował oryginalny dokument. Niektóre zmiany wydawały się niemożliwe do wytłumaczenia, dopóki nie zauważyłem, że łączą się z zastępstwami chorych sekretarek. Wszystkie te biedne dziewczęta cierpiały na zatrucie pokarmowe — wyglądało to jak prawdziwa epidemia. Każdą z nich zastępowała ta sama dziewczyna. Zostawała w pracy na tyle długo, by przepchnąć plany związane z budową pancernika o krok dalej, i znikła.

Nie miałem wątpliwości, że ta dziewczyna jest pomocnicą geniusza zbrodni, czyli autora całego przekrętu. To on tkwił w samym sercu zdarzeń jak pająk w sieci, pociągając za nici, które wprawiały całą maszynę w ruch. Nie miałem racji, sądząc, że w sprawę zamieszana jest jakaś szajka. Wszyscy moi drugorzędni podejrzani okazali się

widmowymi figurantami, a nie ludźmi z krwi i kości. W paru sytuacjach, gdy fałszerstwo nie mogło załatwić sprawy, mój tajemniczy X najwyraźniej najął samego siebie do danego zadania. Na stałe pełnił oficjalną funkcję asystenta produkcji. Rozplątane nici jedna po drugiej prowadziły do jego biura. Miał też sekretarkę, której urlopy chorobowe dziwnym trafem przypadały na okresy zastępstw w innych biurach.

Kiedy wstałem od dokumentów, ból w plecach przypominał dżgnięcie rozpalonym żelastwem. Połknąłem tabletkę przeciwbólową i popatrzyłem na moich zgarbionych asystentów z podkrążonymi oczami, którzy towarzyszyli mi przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny pozbawione snu. Przysypiali, oparli o meble, czekając na moje wnioski. Nawet prezydent Ferraro tam był, z fryzurą postrzępioną od wrywania włosów garściami.

— Znalazł ich pan? Tę szajkę? — zapytał, szukając już palcami nowych kędziorów do szarpania.

— Znalazłem, owszem — odrzekłem ochryplym głosem — ale nie szajkę. To genialny przestępca, który najwyraźniej ma więcej smykałki do zarządzania niż wszyscy pańscy złaknieni łapówek biurokraci razem wzięci. Pomaga mu kobieta. Sami wszystko zorganizowali i przeprowadzili. On nazywa się — choć to pewnie i tak pseudonim — Pepe Nero. Dziewczyna to Angelina...

— Aresztować ich, natychmiast! Straż! Straż... — głos ucichł, gdy jego właściciel wybiegł z pokoju.

— Dokładnie to zamierzamy zrobić — powiedziałem do jego pleców — ale w tej chwili może być to trudne, ponieważ oni nie tylko wybudowali ten statek, ale najprawdopodobniej też go ukradli. Był w pełni zautomatyzowany, więc załoga jest niepotrzebna.

— Co pan teraz zamierza? — zapytał jeden z urzędników.

— Nic — odparłem, przywołując na powrót ton gwiazdneho weterana. — Flota Ligi już się zbliża do tych odszczepieńców i wkrótce zostaniecie powiadomieni o przejęciu okrętu. Dziękuję za waszą pomoc.

Ofiarowałem im zdawkowy salut i moment później już ich nie było. Patrząc ponuro na ich plecy, zazdrościłem im tej prostej wiary w Marynarke Ligi. W rzeczywistości żadna zemsta flota była równie prawdziwa jak mój admirałski stopień. To była robota dla Korpusu. Musiałem jak najszybciej poinformować o wszystkim Inskippa. Wysłałem mu psiogram o kradzieży statku, ale do tej pory nie otrzymałem odpowiedzi. Może tożsamość złodziei sprowokowałyby go do jakiejś reakcji.

Wiadomość zakodowałem, ale szyfr można było łatwo złamać, gdyby komuś bardzo na tym zależało. Osobiście poszedłem do centrum łączności. Psionik siedział w przeszklonej kabinie, zamknąłem się w niej razem z nim. Miał zamglony wzrok, kiedy cicho mówił do mikrofonu, przyjmując wiadomość skądś z drugiego krańca galaktyki. Na zewnątrz skrybowie pospiesznie przepisywali, kodowali i katalogowali wiadomości, ale żaden dźwięk nie przedostawał się przez wygłuszoną ścianę. Zaczekałem, aż psionik powróci duchem do wnętrza kabiny, po czym podałem mu wiadomość.

— 14 Centrala Ligi, ekspres — powiedziałem.

Uniósł brwi, ale nie zadawał pytań. Nawiązanie kontaktu zajęło tylko kilka sekund, jako że w centrali mieli całą bandę psioników na potrzeby komunikacji. Starannie odczytał zakodowane słowa. Artykułował je ustami, ale nie wypowiadał na głos, siłą umysłu przesyłając je przez dzielące nas lata świetlne. Gdy tylko skończył, zabrałem notatkę, podarłem ją i schowałem do kieszeni.

Szybko otrzymałem odpowiedź. Inskipp musiał kręcić się w okolicy biura i czekać na moją wiadomość. Przekaz z mikrofonu nie poszedł do skrybów na zewnątrz, sam spisałem zakodowany stenogram.

— ...xybb dfil fdno, a jeśli ci się nie uda — lepiej w ogóle nie wracaj!

Szyfr przeszedł w niekodowany tekst i psionik zakończył przekaz, uśmiechając się pod nosem. Złamałem końcówkę ryłka i warknąłem na mężczyznę, aby nie powtarzał żadnej części tej wiadomości, ponieważ

była ściśle tajna i w takiej sytuacji osobiście dopilnowałbym, aby go rozstrzelano. Zmazałem mu uśmiech z twarzy, ale wcale nie poczułem się lepiej.

Rozkodowana wiadomość nie okazała się tak zła, jak się tego spodziewałem. Miałem zająć się odnalezieniem i przejęciem skradzionego okrętu, do odwołania. Mogłem wezwać Ligę w celu uzyskania dowolnej potrzebnej mi pomocy. Do końca zadania miałem też zachować admirałską tożsamość oraz informować Inskippa o postępach. Tylko te parę słów kończących wiadomość powstrzymywało mnie przed skakaniem ze szczęścia.

Otrzymałem moje długo oczekiwane zadanie. Gdyby przetłumaczyć moje rozkazy na prosty język, okazałoby się, że albo odzyskam okręt albo mogę pożegnać się z życiem. Ani słowa o tym, że wykrycie całego przekrętu było wyłącznie moją zasługą. Cóż za niewdzięczny świat.

Krótką chwilą uzalania się nad sobą wystarczyła, żebym się odprężył, więc natychmiast położyłem się do łóżka. Skoro moim głównym zadaniem miało teraz być oczekiwanie, mogłem się przynajmniej wyspać.

Czekanie faktycznie było jedynym, co mogłem uczynić. Oczywiście były też zadania drugorzędne, jak wynajęcie krążownika Marynarki na mój prywatny użytek i wygrzebywanie dodatkowych informacji na temat złodziei. Miało to jednak niewielki związek z moim głównym zajęciem: czekaniem na złe wieści.

Nie istniało miejsce, które lepiej nadawałoby się do ruszenia w pościg niż Cittanuvo. Zaginiony statek mógł odlecieć w dowolnym kierunku. Z każdą upływającą minutą liczba jego prawdopodobnych lokacji rosła w astronomicznym tempie. Załogę pełniącą wartość krążownika trzymałem na posterunkach, resztę rozlokowałem po kwaterach w promieniu stu jardów od statku.

Na temat Pepe i Angeliny informacji znalazłem niewiele — dobrze pozacierali za sobą ślady. Nie wiedziałem, skąd pochodzą, choć na podstawie relacji świadków dowiedziałem się, że oboje mówili z nieco

obcym akcentem, co sugerowało, że nie byli stąd. Znalazłem nawet niewyraźne zdjęcie Pepe, puszystego gościa, ale zbyt ponurego jak na typowego wesołego grubaska. Nie trafiłem na żadną fotkę dziewczyny. Przeglądałem moje skromne znaleziska, walczyłem z własnym brakiem cierpliwości i pilnowałem, żeby okrętowy psionik był nieustannie zajęty ściąganiem wiadomości o wszelkich możliwych kłopotach w kosmosie. Wraz z nawigatorem opracowywaliśmy warianty trasy pokonanej przez uciekinierów i porównywaliśmy wszystkie niepokojące zdarzenia z powiększającą się sferą możliwych pozycji zaginionego okrętu. Niektóre zdawały się nawet mieć sens, ale po zasięgnięciu szczegółowych informacji okazywało się, że wszystkie te katastrofy miały naturalne przyczyny.

Rozkazałem, aby wszystkie doniesienia z obszaru, w którym mogli znajdować się Pepe i dziewczyna, natychmiast trafiały prosto do mnie. Tak też się stało — goniec obudził mnie z głębokiego snu, zapalił światło i wręczył mi pasek papieru. Zaspany zamrugałem, przeczytałem pierwsze dwie linijki i wcisnąłem przycisk alarmowy przy moim łóżku. Przyznaję, chłopcy z Marynarki znają się na swojej robocie. Gdy tylko odezwały się syreny, załoga zabezpieczyła statek i wystartowaliśmy, zanim jeszcze skończyłem czytać raport. Kiedy zmniejszyło się przeciążenie i znowu widziałem wyraźnie, przeczytałem całość, uważnie, jeszcze raz od początku do końca.

Wydawało się, że to dokładnie taka wiadomość, na jaką czekaliśmy. Nie było świadków tragedii, ale kilka stacji monitorujących wykryło wyładowanie statyczne towarzyszące wystrzałowi z dużej broni energetycznej. Triangulacja zaprowadziła ekipę dochodzeniową do miejsca, w którym znaleźli transportowiec *Ogget's Dream* z dziurą wielkości tunelu kolejowego. Przewożony zapas plutonu zniknął.

Śmierdziało mi to na kilometr robotą Pepe. Leciał pozbawionym załogi pancernikiem, więc wykorzystał go w możliwie najskuteczniejszy sposób. Gdyby próbował negocjować albo grozić innemu statkowi, byłoby to ryzykowne. Zamiast tego natarł na niczego się niespodziewającą załogę frachtowca i podziurawił go swoimi potężnymi działami.

Wszystkich osiemnastu członków załogi zginęło na miejscu. Złodzieje stali się teraz mordercami.

Czułem na sobie presję, by działać, a jeszcze większą, by nie popełniać żadnych błędów. Tłuscioszek Pepe okazał się bezlitosnym mordercą. Wiedział, czego chciał, i sięgał po to bez wahania. Mógł zniszczyć każdego, kto stanąłby mu na drodze. Wiedziałem, że nim to się skończy, zginie jeszcze wiele osób i ode mnie zależało, by ta liczba była jak najmniejsza.

Najlepiej byłoby pogonić za nim z całą wielką flotą i sprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości. Wszystko pięknie, bardzo chciałbym tak to załatwić. Tylko gdzie on był? Okręt liniowy może być gigantem wśród statków, ale w kontekście tego, jak olbrzymia jest galaktyka, wydaje się mikroskopijną drobiną. Póki trzymał się z dala od regularnych tras handlowych, stacji monitorujących i planet, można go było szukać w nieskończoność.

Jak w takim razie go znaleźć, a potem złapać? Ten piekielny potwór nie musiał się obawiać spotkania z żadnym statkiem. To był prawdziwy problem. Spędzał mi sen z powiek i sprawiał, że całymi dniami gadałem do siebie, nie mogąc znaleźć żadnego rozwiązania.

Aby znaleźć jakieś wyjście, musiałem rozważyć wszystko spokojnie i uważnie.. Skoro nie mogłem się dowiedzieć, gdzie Pepe się pojawi, musiałem sprawić, aby przybył dokładnie tam, gdzie chciałem.

Pewne czynniki mi sprzyjały. Najważniejsze było to, że zmusiłem go do wprowadzenia planu w życie, zanim był do tego gotowy. Nie przez przypadek odleciał tego samego dnia, którego przybyłem na Cittanuvo. Równie przemyślany plan musiał obejmować ostrzeżenia na wypadek nadciągającego niebezpieczeństwa. Napęd, a także system sterowniczy i podstawowe uzbrojenie zostały zainstalowane tydzień przed tym, jak się pojawiłem. Sporo drugorzędnej roboty zostało jeszcze do wykonania, kiedy statek odleciał. Jeden ze świadków kradzieży wspominał o kablach zasilania sterczących ze ścian okrętu w chwili, gdy pancernik podrywał się do lotu.

Moje przybycie wytrąciło Pepe z równowagi. Teraz musiałem naciskać go tak długo, aż się potknął. To oznaczało, że musiałem dedukować tak jak on, wpaść na jego plan, myśleć w przód i przygotować pułapkę. Tylko oszust przechytry oszusta. Sęk w tym, że ten pomysł może i świetnie sprawdza się w teorii, ale jakoś niełatwo wprowadzić go w życie.

Pomógł drink i cygaro. Patrzyłem na gładką powierzchnię grodzi, puszczałem kółka dymu i spróbowałem się odprężyć. Bądź co bądź, nie ma znowu tak wielu rzeczy, do których można wykorzystać okręt liniowy. Nie nadaje się do wielkich przekrętów, wysadzania sejfów albo wytwarzania narkotyków. To rewelacyjna zabawka dla kosmicznych piratów, ale niewiele ponad to.

— Świetnie, świetnie... Tylko dlaczego akurat taki okręt?

Gadałem do siebie, co zazwyczaj nie jest dobrym znakiem, ale chwilowo miałem to gdzieś. Podałem się nastrojowi kosmicznego piractwa i pozwoliłem, by mnie niósł do czasu, aż rażący brak logiki nie dzielił mnie pięścią w twarz.

Czemu liniowiec? Po co tyle zachodu, całe lata pracy, aby zdobyć okręt, którym dwoje ludzi ledwo może sterować? Dziesięć razy łatwiej byłoby znaleźć krążownik, który równie dobrze nadałby się do tego celu, czyli do piractwa — ale nie do celów Pepe.

Nie, on chciał liniowca i zdobył go. To z kolei oznaczało, że jego plany wykraczały poza zwykłą korsarską robotę. Co to mogło być? Nie miałem wątpliwości, że Pepe to monoman, egocentryk, równie szurnięty jak komputer po spięciu. Pewnego dnia trzeba będzie zbadać, jakim cudem przeszedł urzędowe badania, ale teraz miałem poważniejsze zmartwienia. Najpierw musiałem go złapać.

W mojej głowie powoli rodził się plan i nie próbowałem go pospieszać. Przede wszystkim musiałem być pewny, że dobrze go znam. Facet, który jest w stanie przeprowadzić taki przekręt, aby cała planeta zbudowała mu okręt — a on później jeszcze go kradnie — nie poprzestanie na tym. Tu była potrzebna załoga, stacja, w której mógł zatankować, oraz misja.

Tankowaniem zajęli się w pierwszej kolejności — rozpruty kadłub Ogget's Dream był tego milczącym świadkiem. Z kolei planet, które mogli wykorzystać jako bazę, było całe mnóstwo. Znalezienie załogi mogło w tych spokojnych czasach być nieco trudniejsze, ale i w tym względzie miałem trochę pomysłów. Chociażby nalot na szpital psychiatryczny albo więzienie: wystarczy powtórzyć taki zabieg kilka razy i można zdobyć załogę, która każdego szefa kosmicznych korsarzy napałaby dumą. Inna sprawa, że piractwo wydawało się nie dość ambitne dla tego gościa. Może chciał rządzić całą planetą — albo całym układem? A może czymś jeszcze większym?

Zadrzałem, kiedy zaświtała mi w głowie pewna myśl. Czy istniał jakiś sposób, żeby go powstrzymać, jeśli rzeczywiście zaczął wprowadzać podobny plan w życie? Podczas Wojen Królewskich było paru koleś, którzy mieli do dyspozycji kilka statków i znacznie mniej oleju w głowie niż Pepe, a założyli imperia. Koniec końców obalono je wszystkie, bo opierały się na jednoosobowej dyktaturze, ale jakim kosztem!

To brzmiało jak niezły plan i czułem w kościach, że właśnie do tego zmierza Pepe. Mogłem się mylić w kwestii szczegółów, ale to nieistotne. Znałem główny zamysł. Gdy wpadłem na jego zarys, natychmiast wiedziałem, co się z nim wiąże i jak wprowadzić go w życie. Przystępstwa też rządzą się swoimi prawami, tak samo jak każda inna dziedzina ludzkiej aktywności. Po prostu wiedziałem, że mam rację.

— Dajcie mi tutaj oficera łączności, natychmiast! — krzyknąłem do interkomu. — A do tego kilku chłopaków z rejestratorami. Byle szybko! To sprawa życia i śmierci!

W tych ostatnich słowach pobrzmiwała złośliwa satysfakcja i wiedziałem, że przez entuzjazm na moment porzuciłem odgrywaną rolę. Zapiąłem mundur, poprawiłem dekoracje, wyprostowałem się. Zanim usłyszałem pukanie do drzwi, znowu byłem stuprocentowym admirałem.

Zgodnie z moimi rozkazami statek wyszedł z prędkości nadprzestrzennej, aby psionik mógł połączyć się z innymi operatorami. Kapitan Steng mruzczał coś pod nosem, kiedy dryfowaliśmy na wyłączonych silnikach,

tracąc cenne dni, podczas gdy połowa załogi zajęła się wypełnianiem pozornie szalonych rozkazów. Mój plan przekraczał jego pojmowanie. Oczywiście, właśnie dlatego on był kapitanem, a ja admirałem — choćby i tymczasowym.

Nawigator ponownie wykreował sferę możliwych lokalizacji zaginionego statku. Powierzchnia kuli obejmowała wszystkie gwiazdne układy znajdujące się w promieniu maksymalnej odległości, jaką mógł pokonać liniowiec, powiększonej o dystans jednego dnia. Z początku tych układów nie było zbyt wiele i psionik mógł połączyć się ze wszystkimi, przesyłając notkę informacyjną do stacjonujących tam oficerów Marynarki zajmujących się public relations. W miarę jak kula rosła, pojawiały się zaległości.

Do tego czasu przygotowałem już ogólną notkę prasową wraz z instrukcjami dotyczącymi jej zastosowania i przesłałem ją do 14 Centrali. Tam już cały zespół psioników miał kontaktować się z poszczególnymi planetami, a my musieliśmy tylko ciągle uzupełniać listę globów.

Sfabrykowana notka i jej kontynuacje dotyczyły jednego tematu. Rozszerzałem go, ugniatałem z przyjemnością jak ciepły wosk, rozbieierałem na części pierwsze, by w końcu przerobić na wywiad. Napisałem tyle różnych wariacji, ile byłem w stanie, tak aby notka pojawiła się we wszystkich możliwych mediach. Chciałem, żeby mój news w takiej czy innej wersji trafił do każdego magazynu, gazety i dziennika w zasięgu rozszerzającej się sfery.

— Co, do diabła, ma oznaczać ten bezsens? — zapytał poirytowany kapitan Steng. Dawno już dał sobie spokój z całą operacją, uznając ją za pozbawioną szans na powodzenie. Spędzał większość czasu w swojej kajucie, martwiąc się wpływem, jaki ta nieszczęsna misja będzie miała na jego karierę. Nuda albo ciekawość wywabiły go na zewnątrz i teraz z prerażeniem czytał jedną z przygotowanych przeze mnie wiadomości.

— „Miliarder znalazł swój własny świat”... „Kosmiczny jacht pełen bogactw, które wystarczą na sto lat” — twarz kapitana zrobiła się

czerwona, gdy przeglądał kolejne komunikaty. — Jaki związek ma ten stek bzdur ze złapaniem morderców?

Wcześniej parę niezbyt subtelných pytań pozwoliło mu przekonać się, że żaden ze mnie admirał i kiedy byliśmy sami, nie traktował mnie specjalnie uprzejmie. Nie było wątpliwości, że to ja wciąż dowodzę, ale daliśmy sobie spokój z formalnościami.

— Ten stek bzdur — odparłem — to przynęta, na którą złapiemy naszą rybkę. Pułapka na Pepe i jego współpracę.

— Kim jest ten tajemniczy miliarder?

— To ja — powiedziałem. — Zawsze chciałem być bogaty.

— A ten statek... ten jacht. Gdzie on jest?

— W tej chwili budują go w stoczni marynarki w Udrydde. Polecimy tam, gdy tylko ta partia komunikatów poleci w świat.

Kapitan Steng upuścił papiery na stół, po czym starannie wytarł dłonie, jakby obawiał się zarazków. Próbował być sprawiedliwy i pełen zrozumienia wobec mojego punktu widzenia i kompletnie mu to nie wychodziło.

— To nie ma sensu — rzucił ze złością. — Skąd może pan mieć pewność, że morderca w ogóle przeczyta jedną z tych pańskich wiadomości? A nawet jeśli — czemu miałoby go to zainteresować? Moim zdaniem traci pan czas, podczas gdy on wymyka się nam z garści. Powinniśmy zaalarmować każdy statek w okolicy. Powiadomić Marynarkę i rozstawić patrole na wszystkich trasach...

— Które Pepe mógłby z łatwością ominąć albo wcale się nimi nie przejmować, bo z łatwością załatwi każdy statek, jakim dysponujemy. Nie, nie tędy droga — powiedziałem. — Pepe to cwaniak zdradliwy jak oznaczona talia kart. To jego siła, ale i słabość. Tacy jak on nigdy nie podejrzewają, że ktoś może ich przechytryć. I dokładnie to zamierzam zrobić.

— Niech pan nie przesadza ze skromnością — rzekł Steng.

— Nie zamierzam — odparłem. — Fałszywa skromność jest ucieczką od odpowiedzialności dla nieudaczników. Dorwę tego drania i powiem panu, jak już to zrobię. Wkrótce znowu zaatakuję i tym, co padnie jego łupem, będzie między innymi któreś z czasopism ze sfabrykowaną przeze mnie notką. Niezależnie od tego, na czym mu naprawdę zależy, zabierze też wszystkie gazety i magazyny, które znajdzie. Częściowo by zaspokoić własne ego, ale przede wszystkim, by być na bieżąco w interesujących go kwestiach, takich jak rejsy statków.

— Zgaduje pan. Nie może pan tego wiedzieć na pewno.

Jego przeświadczenie o mojej niekompetencji zaczynało działać mi na nerwy. Opanowałem się i spróbowałem raz jeszcze:

— Tak, zgaduję, ale to pewny strzał, bo sprawdziłem to i owo. Z Ogget's Dream zrabowano wszystko, co nadawało się do czytania. To była jedna z pierwszych rzeczy, co do których się upewniłem. Nie możemy powstrzymać agresora przed kolejnymi atakami, ale możemy sprawić, by następnym razem wpakował się w pułapkę.

— No, nie wiem — powiedział kapitan. — Wydaje mi się...

Nigdy się nie dowiedziałem, co mu się wydawało — i dobrze, bo coraz bardziej mnie denerwował i mogło go kusić, żeby podważyć mój fałszywy autorytet. Syreny alarmowe zagłuszyły jego słowa i pobiegliśmy do sali łączności.

Steng wygrał o włos — to był jego statek i kapitan znał wszystkie skróty. Psionik trzymał w dłoni przekaz, ale streścił go w jednym zdaniu. Kiedy mówił, patrzył na mnie, a jego twarz miała zacięty, chłodny wyraz.

— Znowu zaatakowali. Rozwalili dostawczego satelitę Marynarki, trzydzieści cztery osoby nie żyją.

— Jeśli twój plan nie wypali, „admirale” — kapitan wychrypiął mi do ucha — osobiście dopilnuję, żeby obdarto cię żywcem ze skóry!

— Jeśli mój plan nie wypali, „kapitanie”, z mojej skóry zostaną skrawki tak małe, że nie pozbierasz ich nawet pęsetą. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym dostać się do Udrydde i odebrać mój statek tak szybko, jak to możliwe.

Naturalna nienawiść i pogarda moich podwładnych działała mi na nerwy i wyprowadzała z równowagi. Kierowałem się złością, a nie logiką. Zmusiłem się do odrobiny samokontroli, uporządkowałem myśli, zacząłem odhaczać kolejne pozycje na mentalnej liście.

— Zaczekajcie z tym ostatnim rozkazem — rzuciłem stanowczo, wracając do trybu weterana floty. — Najpierw nawiążcie połączenie i dowiedzcie się, czy któryś z naszych komunikatów został przechwycony w czasie ataku.

Podczas gdy wzrok psionika się rozmył i mężczyzna zaczął mamrotać pod nosem, przewertowałem trochę papierów i uspokoiłem się. Cała załoga statku czekała w napięciu i postarała się nawet nieco zamaskować żywność do mnie niechęć. Minęło dziesięć minut, nim uzyskaliśmy odpowiedź.

— Potwierdzam — powiedział psionik. — Statek dostawczy dokował tam dwadzieścia godzin przed atakiem. Zostawili trochę rzeczy, między innymi gazety zawierające ten artykuł.

— Bardzo dobrze — odpowiedziałem spokojnie. — Wyślijcie ogólny rozkaz, by zatrzymać wszelkie działania związane z naszym komunikatem. Przekaż to przez psioników, ani słowa za pośrednictwem sygnalizującego sprzętu Marynarki, bo ktoś może nas podsłuchać.

Odszedłem powolnym krokiem, znów panując nad sytuacją. Nie patrzyłem w ich kierunku, żeby nie dostrzegli zimnego potu spływającego mi po twarzy.

Trasę do Udrydde, gdzie czekał Eldorado — mój luksusowy jacht — pokonałiśmy w pośpiechu. Dowódca portu pokazał mi statek i zachował się elegancko, powściągając ciekawość. Z sadystyczną przyjemnością zemściłem się na Marynarce i nie zdradziłem ani słowa na temat mojej

misji. Gdy tylko sprawdziłem wraz z technikami układ sterowania i całą specjalną aparaturę, kazałem wszystkim opuścić statek. Do automatycznego nawigatora załadowałem taśmę, która miała poprowadzić mnie kursem wspomnianym w artykułach, wystarczyło nacisnąć guzik i ruszyć w drogę.

Nacisnąłem więc.

To był piękny okręt, a stoczniovcy nie oszczędzali na wykończeniu. Od dziobu aż po dysze na rufie był powlekany czystym złotem. Są co prawda metale o wyższym albedo, ale żaden nie dałby lepszego efektu. Wszystkie detale, wewnątrz i na zewnątrz statku, były powleczone złotem albo wyłożone ozdobną blachą ryflowaną. Cała ta praca nie mogła zostać wykonana w dostępnym im czasie, Marynarka musiała zaadaptować do moich potrzeb już istniejący luksusowy jacht.

Wszystko było gotowe. Albo Pepe wykona swój ruch, albo polecę na mój rajski glob. W tym drugim przypadku, lepiej żebym już stamtąd nie wracał.

Teraz kiedy byłem w drodze i nie było odwrotu, wróciły wszystkie wątpliwości, które starałem się wyprzeć ze świadomości. Plan, wcześniej tak klarowny i logiczny, teraz wydawał się szaloną, pełną dziur prowizorką.

— Trzymaj się, żeglarzu — powiedziałem do siebie najlepszym z dostępnych admirałskich głosów. — Nic się nie zmieniło. W tej sytuacji to wciąż najlepszy i jedyny możliwy plan.

Czy aby na pewno? Czy mogłem mieć pewność, że Pepe, obżerający się zapasami Marynarki w swojej latającej fortecy, faktycznie zainteresuje się odrobiną luksusu i wygody? Albo — jeśli przepych nie zwróci jego uwagi — skusi go sprzęt do planetarnego osadnictwa? Według sfabrykowanych artykułów publikowanych, gdzie tylko się dało, statek był pełen przedmiotów, których Pepe mógłby pragnąć. Przynęta była gotowa, tylko czy rybka połknie haczyk?

Nie miałem pojęcia. Gdybym cały czas o tym myślał, wpędziłbym się w nerwicę. Niełatwo było skoncentrować się na innych rzeczach, ale nie miałem wyjścia. Następane cztery dni płynęły bardzo wolno.

Kiedy odezwał się alarm, poczułem niezwykłą w swojej intensywności ulgę. W ciągu paru najbliższych minut mogłem zostać zabity i starty na proch, ale nie zrobiłoby mi to większej różnicy.

Pepe połknął przynętę. W całej galaktyce był tylko jeden statek, który mógł z takiej odległości wysyłać równie mocny sygnał. Zbliżał się szybko, wykorzystując do czołowego podejścia surową energię silników liniowca. Moim statkiem szarpnęło, gdy promienie przyciągające zamknęły się wokół niego, trafiając z maksymalnego dystansu. W tej samej chwili radio pisnęło, by zwrócić moją uwagę. Odczekałem, dopóki wystarczyło mi odwagi, i włączyłem je. Głos huknął z głośników.

— ... że jesteś na celowniku okrętu wojennego! Nie próbuj uciekać, nadawać, stosować manewrów wymijających albo w żaden inny sposób...

— Kim jesteście... i czego chcecie, do diabła?! — wykrzyczałem do mikrofonu. Miałem włączony skaner, więc mogli mnie widzieć, ale mój ekran pozostał czarny. Nie wysyłałi obrazu. Pod pewnymi względami ułatwiło mi to zadanie: grałem przed niewidoczną publicznością. Musieli widzieć elegancki krój moich ubrań i luksusową kabinę za moimi plecami. Oczywiście, nie widzieli moich dłoni.

— Nie ma znaczenia, kim jesteśmy — odezwało się radio. — Wykonuj polecenia, jeśli chcesz żyć. Trzymaj się z dala od sterów, dopóki się nie przypniemy, później rób dokładnie to, co powiem.

Usłyszałem dwa odległe szczęknięcia, gdy magnetyczne chwytaki uderzyły w kadłub. Moment później statek zakołysał się, przyciągnięty przez pancernik. Wywróciłem oczy do góry w grymasie przerażenia, rozejrzałem się wokół w poszukiwaniu drogi ucieczki i zerknąłem przy okazji na zewnętrzne skanery. Jacht przylegał do potężnego kształtu

drugiego okrętu. Nacisnąłem przycisk, który posłał w drogę robota uzbrojonego w palnik.

— Pozwólcie, że teraz ja wam coś powiem — warknąłem do mikrofonu, pozbywając się maski przestraszonego miliardera. — Po pierwsze, powtórzę wasze ostrzeżenie: słuchajcie poleceń, jeśli chcecie żyć. Pokażę wam, dlaczego.

Kiedy dotknąłem przełącznika, rozpoczęła się starannie przygotowana sekwencja. W pierwszej kolejności kadłub został namagnesowany, a bomby uzbrojone. Błysnęło światło, gdy skaner w kabinie się wyłączył, pojawił się natomiast ten w pomieszczeniu generatora. Zerknąłem na monitor, żeby się upewnić, że wszystko gra, po czym zacząłem ubierać kombinezon. Musiałem to zrobić szybko, a równocześnie mówić naturalnie. Chciałem, żeby byli przekonani, że wciąż siedzę w sterowni.

— Patrzycie na generatory tego statku — oznajmiłem. — Dziewięćdziesiąt osiem procent ich mocy idzie teraz do cewek, które zamieniają kadłub jachtu w elektromagnes. Bardzo trudno będzie wam się od nas odcepić. Radzę, żebyście nie próbowali.

Kombinezon miałem już na sobie i kontynuowałem rozmowę przez mikrofon w hełmie, przekazując sygnał do nadajnika statku. Kadr na monitorze uległ zmianie.

— Teraz patrzycie na bombę wodorową, która jest uzbrojona i czuła na pole magnetyczne trzymające razem nasze statki. Oczywiście wybuchnie, jeśli tylko spróbujecie odlecieć.

Chwyćłem przenośny odbiornik sygnału z monitorów i pobiegłem w stronę śluzy.

— A teraz kolejna bomba — powiedziałem, obserwując zarówno ekran, jak i wolno otwierające się grodzie prowadzące na zewnątrz. — Ta ma czujniki na poszyciu kadłuba. Spróbujcie zniszczyć jakąkolwiek część tego statku albo choćby dostać się do środka, a spowodujecie wybuch.

Byłem w próżni, pokonując skokami olbrzymi kadłub okrętu.

— Czego chcesz? — to były pierwsze słowa, jakie Pepe wypowiedział, od kiedy zaczął mi grozić.

— Chcę porozmawiać, dogadać się. Znaleźć rozwiązanie, które przyniesie korzyść nam wszystkim. Pozwól, że najpierw pokażę resztę bomb — żeby nie przyszły wam do głowy dziwne pomysły dotyczące naszej współpracy.

Oczywiście musiałem pokazać mu te bomby, nie było innej możliwości. Skanery na statku zostały wcześniej zaprogramowane. Wciąż gadałem beztrąsko na temat całej masy ładunków wybuchowych, które mogą przenieść nas na tamten świat, a równocześnie przeciskałem się przez dziurę wypaloną przez mojego robota w kadłubie liniowca. Wybrałem to miejsce na podstawie schematów konstrukcyjnych, bo nie było tu grubego pancerza i urządzeń alarmowych.

— Tak, tak... Wierzę ci na słowo. Jesteś latającą bombą. Daj sobie spokój z tym reportażem z podróży i powiedz wreszcie, jaką masz propozycję.

Tym razem nie odpowiedziałem, ponieważ biegłem i sapałem jak pies, więc miałem wyłączony mikrofon. Przedemną, jeśli schematy nie kłamały, znajdowały się drzwi do sterowni. Tam powinienem znaleźć Pepe.

Przekroczyłem próg z wyciągniętą bronią i wycelowałem w tył jego głowy. Angelina stała obok, wpatrując się w ekran.

— Koniec gry — powiedziałem. — Wstań powoli i trzymaj ręce tak, abym je widział.

— Co to ma znaczyć? — warknął, patrząc w monitor. Dziewczyna pierwsza zrozumiała, co się dzieje. Obróciła się i wskazała na mnie.

— On jest tutaj!

Oboje gapili się na mnie z otwartymi ustami, kompletnie zaskoczeni.

— Aresztuję cię, mój mistrzu zbrodni — oznajmiłem. — I twoją przyjaciółkę również.

Angelina przewróciła oczami i osunęła się na podłogę. Naprawdę zemdląca czy tylko udawała — nie dbałem o to. Trzymałem pulchną sylwetkę Pepe na muszce, kiedy podniósł ją i przeniósł na kanapę przyspieszeniową.

— Co... Co się teraz stanie? — pozwolił sobie na pytanie. Drżała mu szczeka i przysięgłbym, że widziałem łzy w jego oczach. Nie imponowały mi te aktorskie popisy, bo wciąż pamiętałem o martwych ludziach dryfujących w kosmosie. Pepe dokuśtykał do krzesła i opadł na nie.

— Czy coś mi zrobią? — zapytała Angelina. Miała już otwarte oczy.

— Nie mam pojęcia, co z tobą będzie — odparłem szczerze. — Zdecyduje o tym sąd.

— Ale to on mnie zmusił do tego wszystkiego! — jęknęła. Była młoda, ciemnowłosa i bardzo piękna, nawet kiedy płakała.

Pepe schował twarz w dłoniach i jego ramiona zaczęły drżeć. Skierowałem broń w jego stronę i rzuciłem:

— Siądź prosto, Pepe. Trudno mi uwierzyć, że płaczesz. Okręty Marynarki już są w drodze, automatyczny alarm uruchomił się jakąś minutę temu. Na pewno chętnie spotkają się z człowiekiem, który...

— Nie pozwól, żeby mnie zabrali, proszę! — Angelina wstała, plecami przywarła do ściany. — Zamkną mnie w więzieniu, zrobią mi pranie mózgu! — mówiąc to, gwałtownie uderzyła ciałem o ścianę niczym mała złoścząca się dziewczynka.

Z powrotem popatrzyłem na Pepe. Nie chciałem ani na moment stracić go z oczu.

— Nic nie mogę zrobić — powiedziałem. Zerknąłem w jej stronę, a wtedy dostrzegłem otwierające się drzwi. Moment później już jej nie było.

— Nie próbuj uciekać — krzyknąłem za nią. — Nie wyjdzie z tego nic dobrego!

Pepe wydał odgłos przypominający krztuszenie się i ponownie popatrzyłem na niego. Siedział prosto, na jego twarzy nie było ani śladu łez. Prawdę powiedziawszy, śmiał się, a nie płakał.

— Więc ciebie też nabrała, panie cwany gliniarzu... Biedna mała Angelina o pięknych oczach — znowu wybuchnęła śmiechem.

— Co masz na myśli? — zapytałem.

— Wciąż nie rozumiesz? Wszystko, co powiedziała, było prawdą — tyle że wywróconą do góry nogami. Cały plan, konstrukcja okrętu, jego kradzież — to wszystko jej pomysły. Wciągnęła mnie w to, zagrała na mnie jak na flecie. Zakochałem się w niej, równocześnie szalałem ze szczęścia i nienawidziłem samego siebie. Cóż, cieszę się, że to już koniec. Przynajmniej dałem jej szansę ucieczki, tyle byłem jej winien. Chociaż myślałem, że szlag mnie trafi, kiedy zaczęła opowiadać tę bajeczkę o niewinnej zakładnicze!

Uczucie chłodu zamieniło się w kulę lodu, która mnie niemal sparaliżowała.

— Kłamiesz — wychrypiałem, ale sam sobie nie uwierzyłem.

— Przykro mi. Tak to wygląda. Twoi chłopcy od mózgow rozbiorą mój umysł na kawałki i tak czy owak poznają prawdę. Po co mam kłamać?

— Przeszukamy okręt. Nie ukryje się.

— Nie będzie musiała — odparł Pepe. — W jednej z ładowni czeka szybki statek zwiadowczy, który zabraliśmy po drodze. To on pewnie właśnie odlatuje — zza drzwi dotarły do nas odległe wibracje.

— Marynarka ją dopadnie — powiedziałem. W moim głosie pobrzmiwała pewnośc siebie, której wcale nie odczuwałem.

— Może — odrzekł, nagle oklapły i zmęczony, bez ochoty do śmiechu. — Może ją dopadną, ale dałem jej tę szansę. Dla mnie to koniec, a ona wie, że kochałem ją do końca — wyszczerzył zęby w bolesnym grymasie. — Nie żeby cokolwiek to dla niej znaczyło.

Trzymałem go na muszce i żaden z nas się nie poruszył, podczas gdy statki Marynarki zbliżyły się, a na korytarzu rozbrzmiały buciory żołnierzy. Odzyskałem okręt, położyłem koniec atakom. Nie można było mnie winić za to, że dziewczynie udało się uciec. Skoro wymknęła się flocie Marynarki to była ich wina, nie moja.

Miałem swoje zwycięstwo.

Tylko czemu smakowało, jakbym miał w ustach garść popiołu?

Galaktyka jest olbrzymia, ale nie dość, by ukryć przede mną Angelinę. Można mnie raz wykiwać. Tylko raz. Obiecałem sobie, że nasze następne spotkanie skończy się zupełnie inaczej.

KONIEC



www.dobrehistorie.pl
SKLEP WYDAWNICTWA DOBRE HISTORIE

HORROR, KRYMINAŁ I FANTASTYKA
W NAJLEPSZEJ POSTACI - KLASYKA I NOWOŚCI.

W naszym sklepie znajdziecie
KSIĄŻKI TRADYCYJNE, EBOOKI, AUDIOBOOKI, CZASOPISMA
oraz związane z nimi wyjątkowe **GADŻETY**.

Każdego tygodnia przygotowujemy wyjątkowe
PROMOCJE i KONKURSY dla stałych czytelników.

Zapraszamy także do odwiedzin naszych internetowych serwisów:
cosnaprogu.blogspot.com

oraz

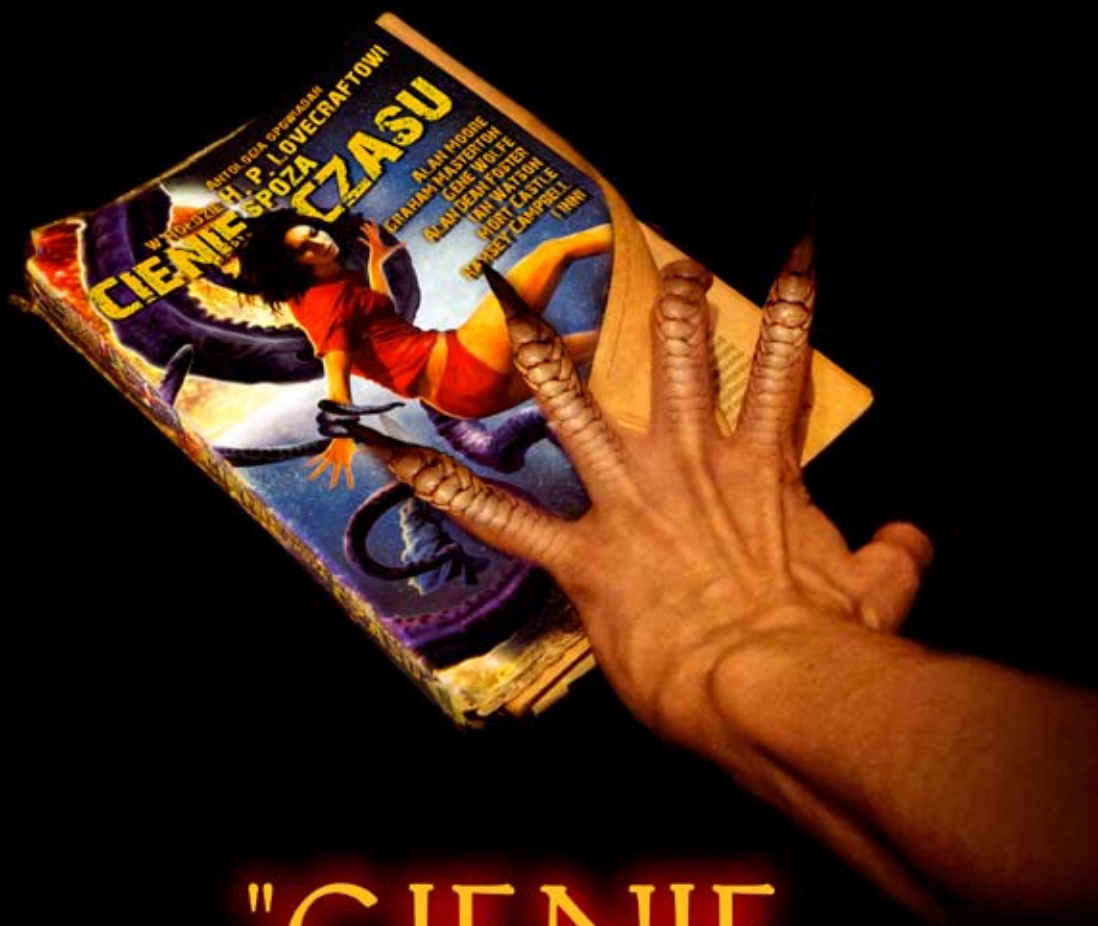
facebook.com/Dobre.Historie

Znajdziecie tam

darmowe ebooki, słuchowiska oraz wiele premierowych **artykułów,**
recenzji, wywiadów z pisarzami i **komiksów**.

Zapraszamy!

W T O M I E O P O W I A D A N I A :
ALANA MOORA, GRAHAMA MASTERTONA, EDWARDA LEE,
IANA WATSONA, ALANA DEANA FOSTERA, GENE WOLFE'A,
MORTA CASTLE, RAMSEYA CAMPBELLA, KIMA NEWMANA,
PAULA F. WILSONA I TOMASZA DRABARKA.



"CIENIE SPOZA CZASU"...

ANTOLOGIA OPOWIADAŃ W HOŁDZIE H.P. LOVECRAFTOWI.
DAJ SIĘ PORWAĆ MISTRZOM GROZY I SUSPENSU!

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ: WWW.FACEBOOK.COM/DOBRE.HISTORIE



